

Michał Gradowski

Jubileusz "Ochrony Zabytków"

Ochrona Zabytków 51/2 (201), 178-180

1998

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

JUBILEUSZ „OCHRONY ZABYTEKÓW”

Kiedy już postawiono na bibliotecznej półce kolejny, dwusetny numer „Ochrony Zabytków” mamy bez wątpienia do czynienia z jubileuszem. Stary i głęboko zakorzeniony obyczaj karze przy takich okazjach napomknąć o historii, wymienić zasługi (swoje) i podsumować osiągnięcia. Wręcza się też jubilatowi goździki w celofanie. Przy ważniejszych jubileuszach bywa jeszcze „rąsja i klapa”, ale nas to nie dotyczy. Pozwólcie więc proszę, że przypomnę parę kluczowych momentów z historii naszego kwartalnika (kwiatek i buzi będzie na końcu).

„Ochronę Zabytków” założył w 1948 r. prof. Józef E. Dutkiewicz — wybitny konserwator specjalizujący się w malarstwie ściennym. Kwartalnik wychodził w Krakowie, choć wydawcą był Zarząd Główny Stowarzyszenia Historyków Sztuki i Kultury Materialnej w Warszawie. Ostatni zeszyt z tej serii nosił nr 2–3 z 1950 r.

Każdy, komu nieobce są zawile arkana tabliczki mnożenia, obliczy bez trudu, że ostatni zeszyt pięćdziesięcioletniego kwartalnika musi mieć nr 200, zaś w „Ochronie” ostatni zeszyt z 1997 r. nosi nr 199. Głowi się młoda Redakcja jak to jest możliwe, więc wreszcie zdradzę tę tajemnicę — nie było zeszytu nr 4 z 1950 r. Po prostu nigdy go nie wydano i ta zaburzona numeracja ciągnie się za „Ochroną” niemal przez całe jej życie. Najsmieszniejsze w tym jednak jest to, że jakby tak policzyć na sztuki wydane zeszyty, to okaże się, że wszystko się zgadza — do końca 1997 r. ukazało się ich 200. I tym razem tajemnica tkwi w zamierzczłej przeszłości: w 1952 r. wydano oprócz czterech normalnych — jeden zeszyt specjalny pozbawiony numeracji.

Od 1951 r. „Ochrona” była już wydawana przez Departament Konserwacji i Ochrony Zabytków MKiS łącznie ze Stowarzyszeniem — dawnym wydawcą. Onże departament już w 1952 r. zmienił nazwę na Zarząd Ochrony i Konserwacji Zabytków, a w dwa lata potem na Zarząd Muzeów i Ochrony Zabytków, przy której to nazwie pozostawał długie lata, czasowo dodając sobie przymiotnik „Centralny”.

Równocześnie z przejściem kwartalnika przez Ministerstwo redakcję powierzono bezosobowemu „komitetowi redakcyjnemu”. Baczny czytelnik może dziś posądzić ówczesnych redaktorów o jasnowidztwo, już bowiem w zeszycie nr 4 z 1952 r. ukazał się w czarnej ramce portret Stalina zmarłego 5 marca 1953 r. (zamieszczenie takiego nekrologu to nie przejaw lizusowstwa redakcji, lecz odgórny „prikaz” skierowany do wszystkich periodyków). Oczywiście powodem takiego dziwnego przesunięcia czasu była zhora wydawców — miesiącami ciągnące się oczekiwanie w drukarni. Były to bowiem czasy, gdy jedno instytucje miały pierwszeństwo przed innymi i bywało, że gotowy skład zdejmowano z maszyny, bo tamci nie mogli czekać.

Pierwszy numer „Ochrony” w 1948 r. wyszedł w nakładzie 2000 egz., lecz ostatni z tego rocznika już w 4000 egz. W następnych latach po trochu obniżano nakład by w 1959 r. powrócić do pierwotnych 2000.

Rok 1960 przynosi załamanie kwartalnika (nie ma w tym nic dziwnego, był to bowiem rocznik 13). Ukazał się wtedy tylko jeden zeszyt z numeracją 1–4 w niewielkim nakładzie 800 egz. Jest to ostatni rok, kiedy współwydawcą „Ochrony” było Stowarzyszenie

Historyków Sztuki, również i ostatni rok druku kwartalnika w dotychczasowym, małym formacie A5.

Zasadnicze zmiany na lepsze przyniósł rok 1961. Na stanowisko naczelnego redaktora wrócił prof. Dutkiewicz. Kwartalnik zaczęto wydawać w dużym formacie utrzymanym do dziś. Nakład ustalono na rozsądnym poziomie 1100 egz. i z biegiem lat ostrożnie podnoszono. W rok potem przeniesiono redakcję do świeżo powstałego Ośrodka Dokumentacji Zabytków, gdzie — jak widać — uwiła sobie gniazdo na długie lata.

W owych czasach Ośrodek mieścił się w Pałacu Prymasowskim przy Senatorskiej i gromadził ludzi, którzy byli duszą i ciałem oddani swej pracy. Początkowo dyrektorował tam prof. dr Kazimierz Malinowski, a po jego odejściu na Uniwersytet Poznański — Maria Charytańska. Panowały tu niezmiernie rodzinne stosunki — wszyscy mówili do siebie po imieniu, z wyjątkiem pani dyrektor, której z wieku i urzędu przypadał szacowny tytuł „Szefowej”. Kiedym tam rozpoczął pracę, jesienią 1966 r. (ponad 30 lat temu!), Działem Architektury kierował Przemek Maliszewski — Panie świeć nad jego duszą, a Działem Zabytków Ruchomych Lech Krzyżanowski. Dział Muzealnictwa prowadziła Beata Wilde. Biblioteką kierował Staś Hiż. Pracowała u niego Zosia Wiśniewska, która tak dobrze знаła nasz księgozbiór, że potrafiła odszukiwać mi książki, których ani autora ani tytułu nie pamiętałam.

Oddzielną instytucją w Ośrodku była pani Maria Decko. Niech będzie mi wolno poświęcić jej osobny akapit, bo warta jest pa-

mięci tych, z którymi pracowała. Była to pani nie pierwszej już młodości, ale krzepkiego zdrowia (gimnastykowała się codziennie rano), niespożytej zgoła energii i wielkiej pogody ducha. Pełniła ona funkcje głównej księgowej, kasjerki, personalnej i zaopatrzeniowca. Wszystkie te obowiązki wypełniała szybko, bezbłędnie i jeszcze znajdowała czas, by przepisywać na maszynie materiały Działu Wydawnictw. Wszyscy lubiliśmy ją bardzo, mimo że krzyczała na nas jak na małe dzieci za każde niedociągnięcie w sprawach papierkowych. Poprawiała potem cierpliwie wszystkie nasze błędy, za szczególnie nierozgarniętych sama robiła całą robotę, gderając przy tym straszliwie, lecz czuliśmy, że jej opryskliwość to tylko powierzchowny pancierz.

I wreszcie Dział Wydawnictw. Kierowała nim Basia Lenardowa, mając na głowie jeszcze prowadzenie Archiwum. Szefowa postanowiła rozdzielić te funkcje — przy Basi zostało Archiwum, a z licznych kandydatów na stanowisko kierownika Działu Wydawnictw wybrano mnie. Nie żebym znał się na tej robocie, ale zdaje się, że moi kontrkandydaci wiedzieli o pracy redakcyjnej jeszcze mniej, a poza tym Szefowa uznała, że ja najlepiej będę pasował do „rodziny”. Miała ona bowiem w zwyczaju dobieranie ludzi pod kątem możliwości dobrej adaptacji w zgrany zespół (ludzi tzn. mężczyzn, bo kobiet nie cierpiała srodze).

Robota, w którą wpadłem po uszy, była niebagatelna: redakcja „Ochrony”, dwie serie książkowe i rocznik „Muzealnictwo”. I na to wszystko tylko dwa etaty — kierownika czyli mój) i pracownika. Basia z ogromną zyczliwością pomagała mi stawiać pierwsze kroki na tej nieznanym mi ścieżce, ale mimo to zginąłbym pewno marnie, gdyby nie dwie podpory, którymi Opatrzność wsparła moje wątłe siły. Pierwszą była siedząca przy sąsiednim biurku (mój jedyny personel) Ewa Szymańska zwana „Rudą Ewką” — była to pannica niespożytej energii i pracowitości, a przy tym miała w małym palcu sprawy tego działu. Drugi filar (choć już nie pracownik etatowy) to pani Maria Lebiezka — redaktor techniczny „Ochrony” — która z anielską cierpliwością uczyła mnie wszyst-

kiego, com powinien wiedzieć o technicznej stronie wydawnictw. Ogromnym swym urokiem osobistym (choć czasem myślę, że i drobnymi upominkami) potrafiła załatwiać w drukarni rzeczy, które były nie do załatwienia — dotyczyło to przede wszystkim dostrzymywania terminów druku. Ewka po jakimś czasie odeszła do pracy w radiu. Miała młodszego brata na utrzymaniu, a nasze pensje już wtedy były na poziomie, którego wstydziliśmy się przed sprzątaczkami. Na jej miejsce przyszedł Mikołaj Szczepkowski, po nim Inka Zera, a z czasem Andrzej Jeleński (on też w końcu wyładował w radiu). Natomiast pani Maria Lebiezka pozostała przy mnie jak niewzruszona opoka niemal do końca mej kariery wydawniczej, a kiedy w 1975 r. poszła na emeryturę, miejsce jej zajęła Lidia Bruszezewska — też nieładna majster w tym fachu.

Tak oto zasiadłem przed laty za biurkiem zastępcy redaktora naczelnego „Ochrony”. Naczelnym był wtedy założyciel kwartalnika prof. Dutkiewicz. Mieszkał na Wawelu i choć to z Warszawy kawał drogi, chętnie jeździłem do niego uzgadniać sprawy redakcyjne. Był to pan wielkiej kultury, a przy tym fachowiec co się zowie. Otworzył mi oczy na wiele problemów konserwatorskich i choć w tej dziedzinie nie byłem całkiem zielony (miałem za sobą parę lat pracy w PKZ-ach) — wiele się od niego nauczyłem.

Z czasem wygodnie rozsiadłem się na mym stołku, a byle kłopoty wydawnicze nie były mi już straszne. Największym mym marzeniem była opasła teka redakcyjna — tak gruba, żeby było można dobierać tematycznie materiał do numeru i mieć na tyle obfite zapasy, żeby nadesłane dyrdymały zwracać niewykorzystane. Nie ma bowiem nic gorszego jak brak materiału do najbliższego numeru i konieczność drukowania wszystkiego, co przypadek przyniesie na biurko. Z takich niedoborów materiałowych brały się wtedy zbitki numerów i bywało, że miast dwu zeszytów wychodził jeden z podwójną numeracją, Mnie, przez cały czas pracy w „Ochronie”, udało się uniknąć takiego „dubletu” (już we wstępie uprzedzałem, że — zgodnie z tradycją — napomknę o swych osiągnięciach). Tak więc z dbało-

ści o tuszę mej teki redakcyjnej, a także z chęci publikowania tego wszystkiego, co się liczyło w branży konserwatorskiej, naprzykrzałem się ludziom, którzy coś ciekawego robili, usiłując pozyskać od nich materiał na ten temat. Ale przeważnie ci co robią nie umieją pisać i usiłowali dać mi odpór. Często jednak drogą łagodnej perswazji wyciągałem od nich upragniony artykuł.

Niekiedy autor pisał składnie — w takich razach starałem się unikać ingerencji w jego tekst, bo straciłby on swą specyficzną formę (ja sam nie lubię, jak moje taksty tłumaczą na „polski”). Bywało jednak, że problemy ciekawe i godne publikacji były tak opisane, że z trudem, niekiedy dopiero po konsultacjach z autorem, można było pojąć w czym rzecz. Wtedy już nie było innego ratunku, jak tylko napisać całość od nowa. Kłamię potem jak szewc, żem sam sobie tej biedy napytał. Czasami, zwłaszcza przed oddaniem numeru, siedziałem po nocach, a następnego dnia, zaspany, spóźniałem się do pracy. Kiedyś właśnie przemyciałem się cichutko korytarzem do swego biura i — jak to zwykle w takich razach bywa — natknąłem się na Szefową. A były to czasy, kiedy przestrzegano dyscypliny pracy (już nie była to słynna „socjalistyczna dyscyplina pracy” lat pięćdziesiątych, ale była). „O której to się przychodzi do pracy?” — usłyszałem retoryczne pytanie, ale że byłem zły i niewyspany odpaliłem z miejsca: „Czy mam rozumieć, że Dyrekcja Ośrodka oczekuje ode mnie pracy od punkt ósma do punkt czwarta?” Szefowa coś burknęła niepoohlebnie o moim intelekcie i myślałem, że na tym się skończyło. Tego samego jednak dnia na zebraniu kierowników działów oznajmiła, że Michał za jej dyrektorskim zezwoleniem może się spóźniać w okresach śpiętrzenia prac redakcyjnych. Szefowa słynęła z tego, że była dobrym politykiem — i tym razem znowu okazało się, że w Ośrodku nie dzieje się nic poza jej wiedzą i przyzwoleniem.

Dzień 7 września 1968 r. jest czarną kartą w kalendarzu „Ochrony”. Zginął prof. Dutkiewicz, spadając z rusztowania w kościele olkuskim. Był to straszny cios dla redakcji, bo przecież on naprawdę kierował

naszymi pracami. Nie było innej rady, jak tylko przywołać na pamięć wszystko, co mówił w czasie naszych długich rozmów i tak prowadzić kwartalnik, jak on by to robił.

Szefowa umyśliła, że dobrze jest mając redakcję w Warszawie, stanowisko naczelnego powierzyć komuś z innego ośrodka konserwatorskiego — miało to zapobiegać tarciom międzyrodowiskowym. Kiedy więc zabrakło prof. Dutkiewicza, zaproszono na to stanowisko innego profesora z Krakowa — Władysława Slesińskiego. Pełnił on tę funkcję do 1973 r., a po nim naczelnym „Ochrony” został doc. dr Olgierd Czerner z Wrocławia.

W 1975 r. przestałem pracować w naszym kwartalniku (jesz-

cze do 1978 r. pełniłem tam jakieś funkcje, ale bardziej nominalnie niż faktycznie). Wtedy to na moim stołku zasiadł Krzysztof Nowiński, który potem przez wiele lat sekretarzował redakcji ze znakomitym skutkiem. Pewnie do dziś by to robił, gdyby na drodze nie stanęło mu jego własne dziecko — „Spotkania z Zabytkami”. Początkowo małe, nieperiodyczne wydawnictwo rozrosło mu się w rękach do rozmiarów popularnego miesięcznika i tak zaabsorbowało, że poświęcił mu się bez reszty.

Po Olgierdzie Czernerze funkcję naczelnego „Ochrony” przejął Lech Krzyżanowski, a na stanowisko zastępcy wróciła po latach Basia Lenardowa. Po Lechu, z wielkim *interregnum* na przeło-

mie lat 1991–1992, naczelnym został dr Wojciech Fijałkowski. To już jednak nowsza, nie znana mi historia, a więc i pisać o niej mi się nie godzi.

Powiadają, że stara miłość nie rdzewieje — przyjm więc kochana „Ochrona” z okazji Twego jubileuszu życzenia długich lat życia i służby naszej sprawie. Wiem, że dziś na twojej drodze wiele raf i niebezpieczeństw, a pesymiści kraczą. Ale przypomnij sobie, że kiedyś 30 lat temu zasiadł za redakcyjnym biurkiem, takie same wrony krakały nad naszymi głowami. I co? I nic. Tak jak wtedy, tak i teraz ominiesz wszystkie przeszkody, byle tylko nie zabrakło Ci ludzi, którzy w Ciebie wierzą.

Michał Gradowski